



Zwierciadło wieku cieleącego

Joanna Olech

Cegła, ale lekka

Bajka o Polsce. Długa na – bagatela! – 1200 stron. Zajmująca. Niezbyt krwawa. Unikająca patosu. Z dobrze sportretowanymi bohaterami. Z wyrazistymi postaciami drugiego planu. Potoczna. Logiczna. Z domyślnym morałem. Z dużą liczbą obrazków.

Niewielu miało szczęście spotkać w szkole charyzmatycznego nauczyciela historii z wyobraźnią i narracyjnym talentem. Tym podręcznik szkolny służył jedynie za konspekt, ewentualnie za podpórkę chybottliwego stolika. Dla smutnej reszty historia pozostała niekończącym się pochodem uzbrojonych mężczyzn, naporządzających się z niejasnych pobudek, przyszpilonych do podręcznika datą, którą należało wykuć na blachę.

Historia, której uczyłam się w latach 60. i 70., kolarzy mi się z krętymi wykresami frontów i czarnymi kleksami bitew – nie była to lektura dziewczynska. Już po maturze zaczęłam czytać książki o historii obyczaju – ta druga (wątła) nóżka historii bardzo przypadła mi do gustu. Nic dziwnego zatem, że lepiej niż szczegóły kampanii Napoleona pamiętam anegdoty o oficerach napoleońskich, którzy wkładali na mokro (!!!) swoje szykowne białe spodnie z losiowej skóry, aby dobrze przylegały do pup i tydek, po czym obsychali w nich do pożądanego skutku, narażając się na liczne przykre dolegliwości, które nie przystoją bohaterom. Moja konfekcyjna, prozaiczna wyobraźnia nie chciała wylecieć nad poziomy i za nic miała batalistyczne podboje, za to uparcie czepiała się spodni, rondli i kądzieli. Dla takich jak ja ignorantek historycy nie mają litości.

Każda generacja ma swoje podręczniki. Po roku 1989 nie wystarczyło odcędzić na sitku marksistowskiej retoryki, trzeba było jeszcze poskromić arbitralność sądów, uwolnić lekcję historii od kategorycznych ocen, zabarwionych światopoglądową preferencją autorów. Zadanie karkołomne, a im bardziej współczesna materia podręcznika – tym trudniejsze. Trzeba było też „rozbroić” historię, uczynić bardziej „babską”, cywilną – przybrać kulturą, sztuką, filozofią.

Gorączkowa krzątania w wydawnictwach edukacyjnych, powoływanie komisji ministerialnych, ucieranie się stanowisk, eksperymenty – wszystko to służyć miało wypracowaniu nowych standardów w nauczaniu historii. Wydawcy kicali jak zajęte po polu minowym, starając się zadowolić zwierzchników edukacji, którzy w rytm zmian gabinetowych grzebali w historii, popychając ją od lewa do prawa i z powrotem. Podręcznikowej drobnicy towarzyszyły opasłe kompendia – pisane na potrzeby nowych czasów „cegły” szkolne i akademickie.

PWN – nestor wśród wydawców – z zaproszeniem do napisania takiej „cegły” udał się do niekwestionowanych tuzów polskiej historii – profesora Janusza Tazbira et consortes. Iście gwiazdorska, utytułowana obsada gwarantuje jakość przedsięwzięcia. Profesor Tazbir rozdał kolegom po zagonku historii, który oni bez szerniania zasiali. I jakkolwiek względy inne niż fizjonomiczne rozstrzygnęły o doborze zespołu, to przecież jest jakaś zabawna korelacja między opisywaną epoką a fizys historyków.

Profesor Henryk Samsonowicz, mediewista – szczupły i powściągliwy jak średniowieczny mistyk, po franciszkańsku skromny, uduchowiony i bez cienia pychy – pisze o Polsce do roku 1506. Do twarzy by mu było we włosienicy, z pątniczym kosturem. Wiek XVI – okres rozkwitu Rzeczypospolitej – przypadł w udziale profesorowi Andrzejowi Wyczańskiemu, który wygląda jak dwunoga personifikacja „tryumfu rozumu”. Nie przypadkiem zatem w podręczniku znajdziemy rozdziały jego autorstwa, poświęcone zagadnieniom „cywilnym”: kulturze, gospodarce, życiu społecznemu.

Profesor Janusz Tazbir – jowialny i okragły, różowy jak barokowe putto, a przy tym pyszny gawędziarz i erudyta o nieźrównanym dowcipie – pisze o Polsce sarmackiej. Opisujać epokę Sasów i Polskę przedrozbiorową profesor Jacek Staszewski nijak nie pasuje do mojej fizjonomicznej teorii predestynacji. Pogodny, nieduży i kragły jak pączek, nie zdradza cienia podobieństwa do potężnych Wettynów w pudrowanych perukach, z apoplektycznym rumieńcem na twarzy. Niech nam zatem posłużą za wyjątek potwierdzający regułę.

Profesor Tomasz Kizwalter – typ „judymowski”, poważny i chmurny, o młodzieńczej sylwetce, z głową sklepioną jakby dla cylindra – jest autorem eseju o wieku XIX. Profesor Tomasz Nałęcz – uczony wesolek, autor bon motów, żywcem wyjęty z „Adrii” facecjonista – zajął się pierwszymi czterema dekadami wieku XX. Dla niego – frak albo galowy mundur Wieniawy. Profesor Andrzej Paczkowski – wieczny chłopiec, o młodzieńczym uroku i niesformym dowcipie – pisze o wojnie i PRL-u. Ubieram go, rzecz jasna, w podszyte wiatrem paletko z PDT lub furmański kozuch Hłaski.

Z profesorem Andrzejem Chwalbą kłopot. Oszczędzę mu konfekcji, bo historia najnowsza, przez niego opisana, nie ma jeszcze swojego kostiumu. W garderobie dwóch minionych dekad wisi wdzianko z gwiazdzistej flagi europejskiej, pasiasty biało-czerwony krawat, ekstrawaganckie stroje prałata w stylu „późny Elvis” i garniturek wykształciucha. Ciągłe przybywa nowych kostiumów, ale nie jest jasne, jaka konfekcyjna moda weźmie górę.

Profesorski team to mistrzowska stawka wielkich osobowości. Z ośmiu solistów profesor Tazbir uczynił orkiestrę kameralną – grają zgodnie i czysto. Dwutomowa „Historia Polski” ze Stańczykiem jest w założeniu syntezą napisaną dla potrzeb szkół średnich i wyższych. Ma kształt ośmiu esejów, piękną polszczyzną napisanych gawęd. Oktet profesorski wystrzega się faszerowania tekstu datami i nadmiarem biograficznych szczegółów – te znajdziemy w kalendarium i indeksie nazwisk, liczących łącznie 300 stron. Na pierwszym planie jest tu logika wydarzeń, implikacje,

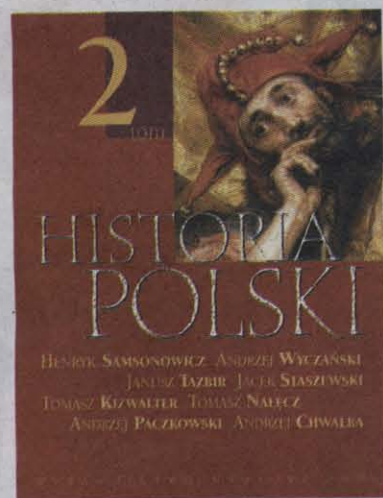
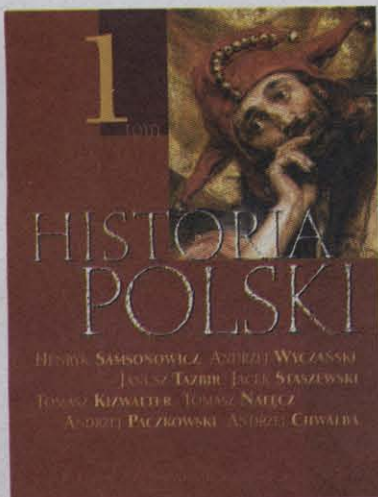
związki przyczyn i skutków. Jeśli ocena – to z punktu widzenia historycznego pragmatyzmu.

Uderza wielka liczba sformułowań „miękkich”: „nie jest rzeczą pewną”, „nie możemy wykluczyć”, „nie można odpowiedzieć w sposób jednoznaczny”, „zapewne”, „należy przyjąć”, „wydaje się”. Z zaskoczeniem odnalazłam na przykład bitwę na Psim Polu w kategorii legend raczej niż faktów. Kompozycja podręcznika ma formę odwróconej piramidy – im bliżej współczesności, tym narracja bardziej rozbudowana, szczegółowa. Ponadto wykłady zostały uzupełnione o pomocnicze hasła z Encyklopedii PWN – drukowane na wewnętrznych marginesach. Każdy rozdział zaopatrzony jest ponadto w listę lektur pomocniczych, mapy i mnóstwo ilustracji.

Z wielką konsekwencją przeprowadzono wywód na temat rozwoju organizacji społecznej – od klanów rodzinnych i plemion po dzisiejszą demokrację. Skąd się wzięli książęta? Skąd królowie? Armia? Magnaci? Mieszczanie? Jakie czynniki przyczyniły się do wyłonienia grup, warstw, stanów? W wykładzie profesorów zmiany ustroju społecznego wydają się być organiczne, tak jakbyśmy w zwolnionym tempie oglądali rozwój rośliny – od ziarna po kwiat i owoc. Przy tym wszyscy autorzy poddali się tak zgodnie reżymowi założonej przez profesora Tazbira koncepcji, że nie widać „szwów” – synteza zdaje się być homogeniczna, jednego autorstwa.

Cieszę wzmianki o sztuce (nieliczne, ale dobre i to). Dla „dziewczynek” – pasusy o kulturze materialnej. Ustępy, które mówią o tym, jak reforma kalendarza czy wynalazek zegara wpłynęły na życie społeczne – pasjonujące. Podobnie opis płacideł – pierwszych substytutów pieniędzy, czy uwagi profesora Samsonowicza o tym, jak język spełnia rolę stanowiska archeologicznego – żywotność i genealogia niektórych wyrazów są odpowiednikiem „wykopaliska”, potwierdzają domysły i intuicje historyków. Tu moja dygresyjna wyobraźnia natychmiast przywarła do cytowanych przez profesora terminów średniowiecznych na określenie związków rodzinnych: szurzy (brat żony), jątrew (siostra męża), zelwa (mąż siostry), teza (teściowa). Niezwłocznie zadzwoniłam do moich jątrewi (?) i tczy (?), żeby się tą nowo nabytą wiedzą podzielić.

Dygresja – byłam w Krakowie podczas obchodów 750. rocznicy lokacji Krakowa na prawie magdeburskim. Przyznaję ze skruchą – świętowałam, nie wiedząc, co świętuję. Ciekawe swoją drogą, jaki procent bujących się w takt muzyki pana Rubika krakowian, tudzież nietrzeźwych brytyjskich kawalerów, zapełniających Rynek, podzieliłoby ze mną oślą ławkę? Z „Historii Polski” dowiedziałam się poniewczasie, dlaczego Kraków miał powody, by bawić się tak hucznie. Historyczny szkie, znalezione przeze mnie w podręczniku,



przekonująco dowodzi rangi niezwyklej reformy, jaką było osadzenie wsi i miast na zapożyczonym z Magdeburga prawie. Logiczny podział i oszacowanie działek, naliczenie i egzekucja podatków, powołanie sołtysów, wójtów i burmistrzów, lokalnych sądów, kancelarii, ksiąg wieczystych, uporządkowanie praw spadkowych, zobowiązań dłużnych, najmu, dzierżawy... – wszystkie te, dziś oczywiste elementy organizacji społeczeństwa, mają swój początek w wieku XIII. A zatem było co świętować w Krakowie.

Prawdziwą miną, na której potencjalnie mógłby wylecieć niejeden historyk, jest zarys dziejów najnowszych. Historia, której doświadczyliśmy na własnej skórze, z całym jej pogmatwaniem i emocjami... Czyż każdy z nas nie jest, we własnym mniemaniu, ekspertem od prawdy historycznej? Czy zatem profesorowie Paczkowski i Chwalba przeszli suchą nogą przez ten grząski grunt,

omijając polskie frustracje, resentymenty, rozczarowania, uprzedzenia?

Drugi tom, który traktuje o wieku XX i historii najnowszej – jest lekturą optymistyczną. Najwyraźniej polityka widziana z wysoka traci charakter bójki na kłonicę, gubi odorek awanturnictwa. To, co z bliska wygląda jak pojedynek zaciętrzewionych ambicjonerów na pacynę z błota – z perspektywy przybiera kształt kontrowersji, cywilizowanej gry sił politycznych. Wyglądają się zmarszczki nowej demokracji, groteska ustępuje miejsca rozwadze. Ten cudowny zabieg upiększający nie bierze się bynajmniej ze stronnicej postawy autorów – po prostu rzetelność historyka nakazuje porzucić ton zabarwionej emocjami oceny, jaką karmi nas publicystyka, a powściągliwy język naukowca służy do opisu faktów, a nie intencji, wybryków i lapsusów.

Tak więc mamy dwutomową „cegłę” autorstwa wybitnych historyków. Jeśli chodzi o styl – jest to cegła lekka. Stańczyk na okładce, niezamierzenie zapewne, wydaje się symbolizować błyskotliwą inteligencję i wiedzę, która wystrzega się uroczystej powagi, a ponadto ma przywilej nieskrępowanej wolności wypowiedzianych sądów. Zawartość tego podręcznika, przeniesiona za jednym zamachem do głów Polaków, zadowoliliby najwybredniejszych pedagogów, a niejednemu wręcz „zapchałaby twarde dyski”.

Przyszedł mi do głowy zuchwały pomysł – gdyby ta lub podobna „cegła” (być może utrwalona na dysku DVD, w komplecie z analogiczną „Historią świata”) kupowana była przez rodziców na okres całej sześcioletniej edukacji dziecka w gimnazjum i liceum? Gdyby tego rodzaju książka stanowiła podręcznik domowy, a każdego roku uzupełniana była jedynie o tanie, broszurowe zeszyty z aneksami, przypisanymi do „podręcznika-matki”, stworzonego przez panteon historyków współczesnych – czy nie byłoby to z pożytkiem dla jakości szkolnych lekcji? ■■

**Henryk Samsonowicz, Andrzej Wyczański,
Janusz Tazbir, Jacek Staszewski,
Tomasz Kizwalter, Tomasz Nałęcz,
Andrzej Paczkowski,
Andrzej Chwalba „Historia Polski”,
tom I-II, Warszawa 2007,
Wydawnictwo Naukowe PWN.**